



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Karnawał skończył się nareszcie, a historia, dając mu paszport, upoważniający do wiecznego spoczynku, zapisze w rubryce „szczególnych znaków“ tylko tę jedną o nim uwagę, że był... za długi.

Nie wiemy, jak sobie radzono z nim w latach 1666-ym i 1734-ym, w których dosiadał tychsamych rozmiarów. My natomiast, przez większą jego połowę trzymaliśmy się w rezerwie, w postawie wyczekującej. i dopiero pod koniec poczęliśmy tańczyć do upadłego, przy niezdetronizowanych dotąd dźwiękach walca z „Gasparone'a“ i echach rozpraw nadszprejskich, na stary temat hamletowskiego, ale specjalnie tym razem do nas się odnoszącego: „Być albo nie być“. Zadecydowano: „nie być“ (*not to be*); ale w Bogu nadzieja, że jakoś tam jeszcze mimo tego będziemy—*we shall be*, jakby powiedzieć można w języku Shakespeare'a.

Wogóle bawiliśmy się dosyć oszczędnie. Zaledwie gdzieś pojawiły się kostiumy zbyt-kowne, w rodzaju malowanych na atlasie, które-mi chciała się wślawić jedna z dam tutejszych; przeważał zaś gust i ów dobry smak, wrodzony naszym paniom, a szczególnie Warszawiankom. Statystyka wypitego „szampańskiego“, jak zapewniają kupcy, wykazuje też znacznie mniejsze liczby, niż w inne lata; co zaś do wystawnych kolacji, „Kuryery“ zanotowały jeden tylko wypadek marnotrawstwa, w którym większość potraw, a nawet i kwiatów do ubrania stołu, była sprowadzoną z Paryża i Nicei. Oile wiemy, nasze śliczne róże i wiślane szczupaki wcale przeciw paryzkim i nicejskim intruzom nie protestowały,

rozważa zaś ogółu była widoczną i, ze względu na okoliczności, nader chwalebna...

A więc *we shall be!* Tak jest, będziemy! Świadczy o tem rezultat rozstrzygniętego w dniu 24 Lutego konkursu dramatycznego imienia Bogusławskiego. Wyprowadził on w szranki nowe zupełnie siły, potężne talenta, o których nikt dotąd nie wiedział: Stanisława Kozłowskiego z uwien-czonym pierwszą nagrodą dramatem „Albert, wójt krakowski“ i Alexandra Mańkowskiego z dramatem „Minowski“ (nagroda druga), oraz kilku innych: Jana Gadomskiego, Maryana Jasińczyka i Józefa Łabuńskiego, których utwory zostały uznane za godne „szczególnego odznaczenia.“

Obaj pierwsi laureaci są ludźmi młodymi, z różnych sfer wyszli i talenta ich odmienne też noszą cechy.

Stanisław Kozłowski jest Warszawianinem; liczy obecnie 26-ty rok życia, kształcił się w Rydze, o własnych siłach, w zawodzie technicznym, a po powrocie do Warszawy pełnił do ostatniej chwili ciężkie obowiązki nauczyciela matematyki na prywatnych pensjonatach tutejszych.

Matematyka więc może żyć w zgodzie z poezją, a, zdaniem sędziów, ma być Kozłowski poeta pierwszorzędny. Jego „Albert“ wywołał w gronie konkursowych sędziów niesłychany zapal i podziw, rozruszał tych ludzi, których rozruszać wogóle nie było łatwo, bo widzieli dużo, a tacy, jak Józef Kenig, wynianczyli prawie nasz teatr i naszą sztukę dramatyczną.

Tymczasem właśnie Kenig najpierwszy okrzyknął „Alberta“ za arcydzieło dramatyczne i w „Gazecie Wars.“ z rozrzewnieniem spowiada się czytelnikom z wrażeń, jakich on sam i wszyscy sędziowowie doświadczyli podczas czytania sztuki p. Kozłowskiego. „Mamy więc pierwszą nagrodę, mamy talent poetyczny niezwyklej siły, mamy pisarza urodzonego dla teatru, jak urodzonym u nas dotąd nikt jeszcze nie był“: oto głosy

sędziowskiego grona. Słowem: zwycięstwo p. Kozłowskiego było świetne i najzupełniejsze.

Alexander Mańkowski (Tadeusz Zaremba), autor „Minowskiego“ pochodzi ze znanej dobrze na Wołyniu rodziny wybornych i majątnych agromów i sam także dotąd w pięknym swym majątku gospodaruje. Kształcił się w Krakowie i Karlsruhe, również w zawodzie technicznym. Praca jego nie ma takich, jak „Albert“ poetycznych zalet, ale znamionuje wybornego obserwatora i poważnego myśliciela. Będąc niezależnym, poświęcił się p. Mańkowski zapewne całą duszą pracy literackiej i wkrótce teatr nasz nowym „Minowskim“ zzbogaci.

Obok wypowiedzenia na jaw nowych talentów, miał konkurs dramatyczny jeszcze jedną cechę charakterystyczną. Oto bowiem w tych czasach w teatrze królować, w czasach, gdy zewsząd podnoszą się głosy na zmaterializowanie naszej młodzieży, zwycięża właśnie poważny, poetyczny dramat, stworzony przez młodych.

Fakt to godzien zastanowienia, chociaż naturalniejszy, niżby się z pozorów zdawać mogło. Owszem, tak być musiało. Realizm, posunięty do krańcowych granic, musiał w końcu przegrać sprawę. Zaczyna też ją przegrywać nie tylko u nas, lecz prawie wszędzie. Ogół chce nareszcie odetchnąć świeższym powietrzem, chce spojrzeć pogodniej, ma do tego prawo, i skorzysta zeń tem skwapliwiej, im dłużej mu go dotąd broniono. Hasła do odwrotu już zewsząd się odzywają, u nas zaś są już i jego początki, tem lepiej! Idzie tylko o to, aby w reakcji nie wpaść w ostateczność, aby stracony ideał, wracając na dawny swój ołtarz, powrócił silniejszy doświadczeniem, przystrojony w szaty, mniej może, niż niegdys, fantastyczne, ale tem więcej ludzkie.

Na innym jeszcze polu możemy się dziś pochwalić z dodatnimi rezultatami działalności. Oto bowiem nasze Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zamknęło ubiegły rok liczbami, jakich w sprawozdaniach instytucji tej dotąd się nie spotykało, a które świadczą o niezwykłej energii, staranności i troskliwości zarządu, oraz o wzrastającym wśród ogółu naszego do sztuk pięknych zamięłowaniu.

Na poparcie słów naszych dość będzie powiedzieć, iż ogólny dochód Towarzystwa dosięgnął w roku ubiegłym summy 35,380 rubli (więcej o 6,370 rs. niż w roku poprzednim), liczba członków podniosła się do 4,300 (wzrosła o 746), biletów wejścia na wystawę sprzedano 61,660 (więcej o 18,000), wystawiono nowych obrazów 498 (więcej o 131), sprzedano 58 obrazów za 8,688 rs., fundusz na budowę własnego gmachu Towarzystwa wzrósł o 6,397 rs. i wynosi obecnie 34,490 rs., słowem w każdej pozycji w sprawozdaniu spotykamy się z wyrazami: *więcej, więcej*, w żadnej zaś niema słówka: *mniej*.

Pokazuje się zatem, że kierunek nadany Towarzystwu przez ruchliwego wice-prezesa p. Lucyana Wrotnowskiego, był nader trafny: zwiększając bowiem materialne środki instytucji, pozwolił jej zarazem rozwinąć korzystną dla sztuki działalność. Pod sterem obecnego zarządu stało się Towarzystwo istotnie tem, czem mu być nakazywała nazwa: *Towarzystwem Zachęty*, umiało bowiem ogół zainteresować i za to mu się najszersze uznanie należy.

I w tej więc dziedzinie jeszcze jesteśmy i... *we shall be!*

* * *

Zanosi się natomiast na innego nieco rodzaju „nieobecność“ naszą.

Oto jeden z lekarzy tutejszych, Dr. Kadler, wystąpił z ostrą krytyką istniejących w mieście naszym lecznic (udzielających porady po 25 kop.), i w wydanej w tym przedmiocie broszurze domaga się energicznie zupełnego ich zniesienia.

Radykalny ten swój wniosek motywuje Dr. K. kilkunastoma punktami, w których wykazuje wadliwości wspomnianych instytucji. Zwłaszcza na dwa z tych punktów kładzie szczególniejszy nacisk: 1) iż do lecznic takich uciekają się nie tylko sami biedacy, niemogący zapłacić obowiązkowego *rubla*, lecz i majątniejsi, zajeżdżający tam częstokroć nawet karetami; 2) iż lecznice, wykonując swe czynności szybko, a więc niezbyt dokładnie i *bezregulowo*, przynoszą chorym bardzo małe korzyści, lekarzy zaś przyprawiają o dotkliwe straty, uszczuplając domową ich praktykę.

Kwestya to zanadto ważna, aby się z nią w felietonie, od ręki, można było załatwić. Zdaje nam się jednak, iż wina niedokładnego opiekowania się chorymi w lecznicach, nie leży po stronie tychże chorych, lecz właśnie po stronie p.p. lekarzy, motyw zaś, iż do lecznic przekradają się chorzy, którzy mogliby zapłacić więcej, niż 25 kop., nie zasługuje na uwzględnienie. Dla pewnej liczby, choćby nawet dość sporej, takich niesumiennej, nie można pozbawiać dobrodziejstwa taniej porady lekarskiej 100,000 chorych, szukających w nich rocznie pomocy i ulgi.

Wprawdzie Dr. K. sądzi, iż chorzy ci, w razie zniesienia lecznic, będą mogli udawać się po poradę do klinik, ambulatoryów, a wreszcie mieszkań lekarzy, z których każdy w pewnych, oznaczonych godzinach udziela ubogim pomocy zupełnie bezpłatnej, a w danym razie nie pogardzi też 25-ma lub 30 ma kop., jeżeli chorego na więcej stać nie będzie. Ale, niestety, jeśli kto doświadczył na sobie dobrodziejstwa owych porad *w godzinach dla ubogich*, lub przyjrzał się bezpłatnym ambulatoryom, nie zostanie wcale argumentem tym przekonany. Chory, udający się do lecznicy za 25 kop., czuje się swobodnym, nie potrzebuje się przed lekarzem rumić, jako ubogi, ani też wyczekiwać *całemi godzinami* po przedsiódkach klinik lub ambulatoryów. Płaci obowiązkową taxę i żąda od lekarza spełnienia jego *obowiązku*—nie naturalniejszego!

Tymczasem Dr. K. przyznaje, iż *obowiązek* ten

wypełniany bywa w lecznicach *niedokładnie*. Jakaż więc wobec tego gwarancya, iż *taska* godzin dla ubogich lub *dobrodziejstwo* ambulatoryów dokładniej sprawę tę będą załatwiały? Zdaje nam się, że niema jej wcale.

A jednak projekt Dra K. znalazł i swoich zwolenników. Stanęli za nim w pierwszym rzędzie wszyscy prawie lekarze. Dziwić się temu nie można; idzie tu bowiem także o ich byt, na równi z innymi stanami zachwiany cokolwiek w tych ciężkich czasach, wszystkie sfery dotykających. Każdy się broni i każdy domaga się za swą pracę należytego wynagrodzenia: czemużby więc lekarze zpod tego prawa mieli być wyjęci? Wierzymy nawet, iż w wystąpieniu swem miał Dr. K. na celu w jednakowej mierze: dbałość o byt kolegów i wzgląd na dobro samych chorych.

Ale droga ku temu obrona nie wydaje nam się słuszną.

Jeśli bowiem p.p. lekarze przy leczeniach nie wychodzą na swoim, niech podwyższą opłatę o 5 lub 10 kop., jeśli zaś lecznice spełniają swe zadanie niedokładnie, należy je oddać pod opiekę i nadzór Towarzystwa Lekarskiego i wogóle zreformować lub ulepszyć. Ale żądać zupełnego ich zwinięcia wówczas, gdy 100,000 ludzi rocznie z nich korzysta, wydaje nam się za radykalnem.

Zresztą dyskusya w tej sprawie nie została jeszcze wyczerpaną: owszem, prowadzi się żywo w prasie naszej i zapewne przyczyni się do wyświeślenia kwestyi. Może więc i my wówczas do niej wrócimy, tymczasem zaś zapisujemy tu tylko starą przestrożę, że łatwiej zburzyć piękną w zasadzie instytucyą, niż zbudować ją z niczego, zwłaszcza w naszym położeniu...

* * *

A jednak w tych dniach, właśnie prawie z niczego, zbudowano w naszym mieście nową, pożyteczną instytucyą.

Budowniczym jest tym razem młode, energiczne i ruchliwe Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie budowlą zaś „Spółka owocarska.“ Celem jej wydarciem handlu owocami krajowemi z rąk niesumiennej przekupniów, a temsamem podniesieniem naszego sadownictwa, które zwłaszcza w okolicach więcej od głównych źródeł zbytu oddalonych, jest ogromnie przez pośredników wyzyskiwane, wskutek tego zaś nie opłaca się i zniechęca wielu swoich adeptów.

Spółka więc nabywać będzie wszelkie owoce w kraju wyhodowane i następnie w kantorach swych sprzedawać je po cenach sumiennie oznaczonych. Owoce mogą być nabywane nie tylko od osób należących do spółki, ale i ich offer-tem pozostawione będzie pierwszeństwo. Przewyżka zysków spółki rozdzielaną będzie pomiędzy członków, jako dywidenda, w stosunku do wartości dostawionych przez nich i sprzedanych owoców. Nabywać udziały spółki (po 50 rs.), a więc i zostać jej uczestnikiem, może każdy, choćby nawet nie był właścicielem sadu i producentem owoców. Rola Towarzystwa Ogrodniczego; jako promotora spółki, ograniczoną została do moralnej z jego strony nad nią opieki. Będzie jej też ono dostarczać ekspertów do oceny owoców, oraz pośredniczyć w sporach między spółką a klientami.

Jak dalece „spółka“ zainteresowała właściwe sfery, dość powiedzieć, iż na organizacyjne jej zebranie przybyło z prowincyi 20 tu właścicieli sadów. Świadczy to, iż myśl utworzenia tej instytucji była trafną i w porę podniesioną, oraz, że sadownictwo nasze istotnie jej potrzebowało.

Już-to wogóle, młode nasze Towarzystwo Ogrodnicze nieraz już dowiodło, iż „ma szczęśliwą rękę.“ Nie wątpimy też, że to jego *szczęście* (proszę czytać: *rozsądek, nauka, wytrwałość*) dopomoże i tym razem do rozwoju nowej instytucji, której powodzenia życzymy z całego serca.

* * *

Według utartego obyczaju, zainaugurowana z dniem dzisiejszym doba wielkopostna, podobnie

jak karnawał na rozmaite zabawy, poświęcaną bywa u nas na zebrania doroczne i wogóle wszelkie rachunki sumienia.

Zebrani tych już się nawet parę odbyło, a jeszcze więcej ich zapowiadają.

W rzędzie tych, które obchodzą ogół, dwa takie rachunki zeszłoroczne: Towarzystwa Muzycznego i Spółki Ogrodu Zoologicznego, nie zbyt świetnie się przedstawiły.

Towarzystwo Muzyczne, liczące 700 członków, zdołało ściągnąć ich na zebranie zaledwie 40-tu i ci apatycznie załatwili się ze swym obowiązkiem, zatwierdzając ryczałtowo sprawozdanie i pozostawiając prawie wszystko w dawnym stanie. Co zaś do spółki Ogrodu Zoologicznego zamknęła ona rok zeszyły deficytem przeszło 7,000 rs., ale usprawiedliwiła go najzupełniej wydatkami na nowe klatki, budowle i t. p., od czego się obecnie wywinąć nie było można, a co się, naturalnie, w przyszłych latach powtarzać nie będzie.

Równocześnie z posypaniem głów popiołem, zaczęliśmy też krzątać się około odczytów. To także przywilej wielkiego postu w Warszawie.

Piękny szereg przyrodniczych prelekcji: o powstawaniu burz, wulkanach, elektryczności, galwanoplastyce, bakterjach, mikrobach i t. d. zapowiedziała na swój dochód sympatyczna Kassa pomocy naukowej imienia Mianowskiego. W rzędzie prelegentów stoją znani nasi przyrodnicy i lekarze: Boguski, Bujwid, Ciemniowski, Dobrzycki, Kramsztyk, Milicer, Stolcman i Siemiradzki—ogółem odczytów czternaście, a zawrą one sporą dozę nauki, zawiniętej w opłatek popularny.

Oryginalnie w podobnej sprawie postąpiło sobie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, a właściwie jego sekcya odczytowa.

Oto, pragnąc urządzić szereg odczytów, obrano najprzód temata i określono je ściśle, a dopiero a dopiero następnie zaczęto się oglądać za... prelegentami. A nie będzie to łatwo, bo nie wielu znajdzie się mogących lub chcących wypracować odczyt na zadany po szkolnemu temat, zwłaszcza, iż Towarzystwo to, jak już ktoś zauważył, nie jest żadną Akademią Umiejętności.

Otóż to się nazywa mieć „nieszczęśliwą rękę“—a o warunkach szczęścia wogóle, mówiliśmy powyżej przy Towarzystwie Ogrodniczem.

Ale na dzisiaj dosyć!
Trzeba oto posypać głowę popiołem—za swoje i cudze winy—i myśleć, myśleć, myśleć, aby „być“—*to be*—jeżeli wolno nam raz jeszcze myśl swą wyrazić w języku Shakespeare'a.

W KSIĘŻYCOWE NOCE.

W księżycowe jasne noce
Ktoś mnie woła w dal przed siebie...
Czy to gwiazdka, co migoce,
Czy to chmurka tam na niebie?

Nie wiem, nie wiem, kto mnie woła,
Kto odrywa mnie od ziemi:
Czy to mego głos anioła
Ze skrzydłami srebrzystemi?

Słyszę, zda się, jakieś łkanie,
Jakieś szept, jakieś drżenie...
Czy to duchów zmartwychwstanie,
Czy mej myśli przebudzenie?

Myśli moja! tyś zakłęta,
I nie możesz tak, jak rosa,
Prysnąć w perły—zerwać pęta,
Wzbić się w górę pod niebiosa.

Gdybyś, jak śpiewacy leśni,
Mogła nucić, rozbrzmieć w tony,
To od dźwięków własnej pieśni
Duch mój byłby uleczonej.

Boże! Boże! w tej godzinie
Rzuć mi z góry promień łaski:
Niech spod serca pieśń popłynie,
Zamieniona w tęczę, w blaski:

Skabioza.

KWESTYONARYUSZ RODZINNY.

(Dalszy ciąg).

Potrzeba niewątpliwej mocy charakteru, potrzeba silnej i wytrwałej woli, aby zgnieść w sobie zakorzeniony od urodzenia przesąd i powstałe z niego nałogi: pychy, wynoszenia się nad innych, wystawności, która jakoby reprezentuje nazewną tę wyższości naszej godność. Każdy człowiek ma wrodzoną sobie chęć dźwigania się ku górze i ciężko mu jest zejść z wyższego stopnia na niższy; ale od czegoż jest się istotą rozumną, skutki czynów swych przewidującą i liczącą się z nimi zawczasu? Żeśmy się dotąd bardzo mało w podobny sposób zastanawiali, położenie obecne stało się rozpaczliwie trudnym. Przewrót ekonomiczny zastał nas bez żadnych zasobów, więc bezbronnych i oddanych na łup wypadkom, które nas zaskoczyły niespodziewanie dlatego tylko, żeśmy nie myśleli, nie czytali, nie wiedzieli nic, co się na horyzoncie rolniczych stosunków dzieje—nie zajęli się nigdy statystyką rosącego wciąż dowozu amerykańskiego zboża, a w każdym razie nie robili żadnych kroków, które można nazwać choć jakimś takim przygotowaniem się na chwilę uderzającego nas teraz przewrotu. Cytowany już wyżej *Głos ze wsi* pisze o Galicyi: „W ostatnich 25 latach społeczeństwo naszej prowincji pomknęło w kierunku wydatków codziennego życia ponad poziom wszelkiej ekonomicznej możliwości...” I było tak nie w Galicyi tylko. Używaliśmy dobrobytu, jaki zagraniczny przemysł nam poddawał, bez żadnego zwrotu troskliwej myśli na położenie własne, i gdyby dzisiejsza porażka nie była nas zastała obarczonych ciężarami długów, klęska nie okazałaby się ani tak stanowczą, ani zataczającą tak szeroko swoje koło nieszczęsne. Zjadaliśmy spadek, zostawiony nam po ojcach pomalutko: lekkomyślnie, lub bezmyślnie; ale obecnie chodzi przedewszystkiem o to, abyśmy nie zjedli resztek i nie wyszli z ojcowizn naszych z torbami.

A co się z tem wiąże! Stary myt Anteusza nigdy w dosłowniejszem znaczeniu brany być nie mógł: z ziemi się wyrzucił, to już wszelkiej siły się pozbawił i grób sobie pod nogami wykopać: więc kto ma w sobie choć trochę energii, choć trochę uczucia obowiązku względem dzieci swoich, względem pokolenia przyszłości, powinien szukać jakiejś rady na możliwie rozumne—a korrespondent dodaje z naciskiem:—na możliwie uczciwe wyjście z położenia. Jak przecież, gdy już dziś same, zwyczajnie zalecane środki oszczędności dla całego ogółu właścicieli ziemskich nie pomogą? Może upadek mniej bolesnym uczynią, może jaką taką resztę dawnego dostatku unieść dadzą, ale stanowczej pomocy już to przynieść nie jest w stanie i trzeba nam użyć energiczniejszego lekarstwa. Ze zmianą zamożności i stan zmienić, a z jego zmianą obyczaj życia zmodyfikować: nie uważać się wciąż za wierzchołki społeczne, i z klasy wyższej przejść do klasy średniej, za taką się uważać, i jako taka życie we wszelkich jego stosunkach prowadzić.

Niemniej ziemi się nie puszczać, bo do jakiejże to innej pracy wziąć się można w zamian? Miejsca w biurach przemysłu i handlu już są przepełnione i wymagają nietylko wiadomości odpowiednich, ale i kwalifikacji innych jeszcze. Nielatwo dających się zdobyć temu, kto się dotąd za pana, za człowieka z klasy wyższej, uważał. Ale przypuśćmy, że nawet te dwie, bardzo ważne, przeszkody w urzędzeniu nowego istnienia właścicieli ziemskich, zostały przez jakieś nie-

spodziewaną łaską losu usunięte—że miejsc jest dość, i że aspirujący do nich potrzebne uzdolnienie, i zawodowe i moralne zdobyli sobie: to jakież są ich widoki? Dla ogółu to kilka tysięcy złotych pensyi rocznej, co przy warunkach życia w mieście, gdzie wszystko drogo opłacone być musi, graniczy niemal z nędzą i niewątpliwie jest już biedą, zwłaszcza dla tych, którzy inne nawyki mają w sobie od dzieciństwa wyrobione, i już w dosłownem znaczeniu tego wyrazu w krew im weszły, bo ze stanem ich fizyczności najściślej związane. Przybývają już teraz od czasu do czasu do Warszawy wyszli z posiadłości swojej obywatele ziemscy, niekiedy nawet z sumką dość pokaźną—i cóż się dzieje? Szukając odpowiedniego zajęcia, grosz się zjada, w miarę tego i pretensye do spodziewanych posad zniżają się; ale jakże rzadko spełni się choć część jakaś nadziei, które mi się karmionol! Korrespondent przytacza nowelkę Prusa: „Furdasiński z Furdasówki” i nietylko nazywa ją (słusznie) misternem arcydziełem szlachetnego i iście naszego rodzimego humoru, ale wprost z natury brany obrazem tego wykołajonego życia wygnańców wiejskich, którzy na miejskiem bruku marnieją—przechodzą przez nędze wszelkiego rodzaju, lecz nie każdego tak, jak w powieści, przyjaciel dźwiga z omdlenia i opieką swoją otacza.

Ale jaką też naprzykład przyszłość przypuścić można dla tego Furdasińskiego, któremu „Furdasówkę wzięli dyabli...” a który potem znalazł na drodze swego życia ratującego go anioła przyjaźni? Praca trudna i ciężka dla niego, który do niej przyzwyczajony nie był; stanowisko bardzo podrzędne, widoki aż do siwego włosa niezmiernie skromne, a co chwila dotykające go uczucie braków przeróżnych we wszystkim, z czem się żył od dziecka. O! czemuż ten biedak—winny niewątpliwie, niemniej dla tego biedak wielki—czemu on w swojej Furdasówce nie został, choćby ekonomując chłopom: służąc tym, względem których stawał się niegdyś panem, istotą, jak-gdyby z innej gliny ulepioną! Ten prosty lud wiejski, był mu jednak z wielu, a wielu stron bliższym, niż wiele wykształconejsze klasy miejskie, z którymi teraz miał żyć, zubożały nieborak. Korrespondent zaznacza to bardzo silnymi rysami, że człowiek tak moralnie, jak fizycznie jest synem tego kawałka ziemi na której się rodzi: że ssie tak pierś otaczającej go przyrody, jak Jowisz ssał Amalteę, i że ztąd wytwarza się nie wątpliwie pokrewieństwo tak duchowe jak fizyczne między ludźmi, których kołyski blisko siebie stały. — Nie potrzeba być materyalistą, aby w to uwierzyć—pisze korrespondent i ma wysoką racją w tem, czego dowodzi. Taki Furdasiński, zbankrutowany czy nie jest przez serce i rozliczne właściwości swej natury stokroć bliższym ludu wiejskiego, niż sfer giełdowo-zbogaconych.

To jest, gdy przyjeżdża do miasta pieniądze tracić, hulać, w zbytki lgnąć—wtedy jest on z nimi w harmonii i zgodzie, czasem go coś przez dawnych, młodych uczuć reminiscencye ukłuje, czasem się na coś szyderczo uśmiechnie, ale pozwoli zacięra się to, i polatawszy jedno z drugim, dobrze idzie. Gdy przecież chce poważnie, serio, a zwłaszcza na swoim starym gruncie pracować, bliższym mu jest chłop wiejski. Krewni są sobie przez pierwiastek swojskości, jest w nich jakkolwiek u ludu w stanie rodzimego złota, wspólność jednorodzajowych kierunków uczuciowości. Korrespondent nie gardzi bynajmniej wyrobieniem intelektualnem; zna jego wysoką cenę i rozumie rozkosz obcowania umysłu równego z równym, ale dodaje, że nie przez sam umysł manifestuje się w nas duch, i uczuciowego, serdecznego zbliżenia się ludu wiejskiego z wyższymi klasami wiejskimi nie kładzie bynajmniej w rzedzie urojen romansowych. Furdasówka leży na mapie rzeczywistości, i nie w kraju mrzonek literackich, ale w rzeczywistości życia; mieszka ta gromada, która żegna łzami gorącymi biednego marnotrawcę ze dworu. Drzwi i okiennice tego dworu zostaną na głucho zamknięte; wjazdowa brama dziedzińca zostanie zabita kółkiem; ogród zarosnie zielskiem dzikiem, i lud płacze, może bezwiednie, tego życia, co się tu mogło pełnić pię-

knie szlachetnie, użytecznie, jako przykład wyższych torów istnienia dla tych tam chat poniżej—płacze instynktownie tego wszystkiego, co wraz z tym, nawet lichym paniczem, z wioski ujeżdża. Toż to był przecież jaki taki węzeł, łączący go ze światem wyższej cywilizacji, z jakąś jedyną dla niego iskierką światła: była-to zawsze jaka taka rada w trudnej życia pozycyi, jakataka obrona człowieka ukształconego, choćby do pewnego stopnia, dawana człowiekowi ciemnemu.

Lud wiejski ma powód zawodzić przy odjeździe każdego Furdasińskiego, choć gospodarniejszy, mędrszy od niego, zbierał wtedy, gdy tamten rozrzucił i kupił też ten kawał ziemi, który on sprzedawał, stając się w jego miejsce dziedzicem gruntu, na którym od wieków pracował. Każdy kto zajrzy w lat kilka po parcelacyi do takiej wsi bez dworu, widzi jak obyczaje ludu widocznie grubieją, dziecują, jak go odbiegło wiele uczuć lepszych—najlepszych może—jak zgasło tam światło szlachetniejszych, idealniejszych poglądów na życie. Doradcy pokątni rozsiadają się teraz wygodnie w sercach i umysłach biednej reszcy; wszystkie czynności rozkładu, czychające na wyszek, obalamucenie, oszukiwanie ciemnego, znajdują tu teraz wolne pole działania. Nikt ich nie skontroluje, nie zawoła na alarm, nie da o nich wiedzieć światu: i pełnią się w cichości zbrodnicze machinacje, okrutne zamachy na własność i cnotę tego ludu, który, zostawiony tak sam sobie, psuje się, rozpaja i cywilizacyjnię w tył się cofa.

Korrespondent woła, że wypada naszym właścicielom ziemskim uczynić co najprędzej obrachunek zasobów swoich, a kto rozumnie i spokojnie, oile zdoła, wejrzawszy w głąb interesów swoich, pozna, że się utrzymać nie może na własności większej: niech przechodzi na własność mniejszą. Prawie wszędzie lud miejscowy z pomocniczym kontyngensem mieszczan z małych miasteczek, jest w możności i zarazem w chęci wykupić te rozparcelowane grunta własności większej, a gdyby wszędzie właściciel utrzymał się choćby przy paru włókach—choćby przy włóce jednej, to jeszcze, przyłożywszy pracowite ręce do tego, nigdy niezawodzącego warsztatu—do dobrze uprawionej roli, miałby z niej, (odliczywszy to, co tu przychodzi mu już darmo, jak mieszkanie naprzykład)—więcej niż mu dać może jakiś nędzny urzędzik w mieście. A jak nieskończenie wygodniejsze, jak nieskończenie miłsze użyteczniejsze byłoby wtedy istnienie jego na własnych śmieciach!

Korrespondent wywodzi tu moralne pochodzenie w języku naszym tego wyrażenia: „własne śmieci...” Nawet śmieci w rodzinnym kątku, przy oddychaniu rodzinnem powietrzem, obok ludzi, z którymi żyliśmy się od dziecka, w pobliżu grobów gdzie leżą prochy rodziców i dziadków naszych, są jeszcze w porównaniu ze smutną wędrówką po świecie, z wycieraniem cudzych kątów wygodną, dla duszy i ciała przytulną siedzibą. Dlaczego zubożali i wyzuci z posiadłości swojej właściciele ziemscy uciekają *à la paris et péru* ostatniego zbiednienia do Warszawy? Pędzi ich tam przedewszystkiem wstyd położenia swego; pragną zniknąć z widowni dawnego życia, pragną się ukryć w tłumie, schować biedę swoją przed oczyma, które niegdyś widziały ich dostatek, ich wystawne życie pańskie! Lecz coto za los tragiczny żegnać wszystko, co było drogiem życia i puszczać się na niepewne nowe istnienie z mrzonką znalezienia jakiejś pracy tam, gdzie mnóstwo lepiej od niej przygotowanych odpychać ich będzie w tył. Biedni Furdasińscy!...

Mniejsza własność, gdy się do niej z pewnym kapitałem przychodzi, daje stosunkowo procent wyższy, niżeli większa z licznym i kosztownym zarządem. Niech tylko sam pan będzie sobie rządcą, ekonomem, a nawet gumienym; niech pani gospodarstwo kobiece także osobiście prowadzi; niech i ona, i córki jej młode, przyłożą się do jego zajęć, jak do obowiązku i celu ich życia, niech je zamiłują szczerze, a pewno lepiej im tu będzie, choćby w dworeczku najniższym: wygodniej, spokojniej, niż tam kędys, gdziebych otoczyło wszystko obce i nieznanne i gdzie poszłaby za nimi tylko tęsknota stron rodzinnych. Korres-

pondent, odwiedzając raz w Warszawie znajomą sobie rodzinę takich wygnanców, mieszczącą się w paru pokojach na odległej, lecz przynajmniej zdrowej ulicy, przeszedł przez niepojęcie wzruszającą scenę, gdy dwoje dzieci, chłopczków niedużych rzuciło się z radosnym powitaniem do psa, którego miał ze sobą, zadając mu wśród pieszczot przejmujące pytania, czy dawno był w W. Była to niegdyś wieś ich rodziców: tam się porodili i chowali, tam im upłynęły wśród szczęśliwej swobody wiejskiej wesołe lata pierwszego dzieciństwa; a że była wieś kościelna, gdzie korrespondent zwykle co niedziela na nabożeństwie bywał, co dzieci pamiętały, jak i ten fakt, że pies faworyt zawsze tam z panem swoim przyjeżdżał, pytały go teraz o to, całując. Matka żartobliwie powtórzyła za niemi pytanie, głaszcząc psa, ale walczyła ze łzami, które cisnęły jej się do oczu. Gość odwrócił się do okna, aby nie pokazać biedaczce, że i on ma ich pełne oczy. Mąż, przy wielkiej protekcji dostał kilka tysięcy pensyi; połowę tego wyczerpywało mieszkanie, i aby żyć, jak najskromniej, dokładano z małego kapitaliku, który wynieśli z ruiny, licząc na zwiększenie pensyi. Lecz cóż, jeżeli nadzieja nie dopisze, i przed spełnieniem jej obietnic woreczek do dna się wyczerpie? Żona coś wspominała, że chce krowy trzymać i mleko sprzedawać.

Ach! gdyby niegdyś połowa tej myśli, troskliwej o przyszłość, była czuwała nad dochodem i rozchodem ich w domu pod cieniem starych lip i akacji—gdyby nie zajeżdżało przed ten dom tyle powozów, wiozących im co niedziela, co święto, liczny zastęp gości! Gdyby... gdyby... pani nie nosiła takich sukien, pan nie palił takich cygar, nie siadał od czasu do stolika z preferansem! Nie był on jednak graczem... o nie! tak jak ona nie była strojnicą, ani rozrzućną kobietą: tylko żyli nad stan!

Żyli w swej wsi tak, jak tam żyli rodzice pani. Rodzeństwa miała pięcioro; po śmierci rodziców podzielono się, mąż najmłodszej córki wziął wieś W. w dzierżawę, gospodarował wcale nieźle, tylko żyło się tak, posiadając tylko część piątą wioski, jak żyli starzy rodzice, mając własność całej, i po jedenastu latach gospodarki wyniesiono się na bruk miasta, unosząc kilka tysięcy rubli całego mienia.

A gdyby wtedy jeszcze, odkładając na bok wstyd fałszywy, kupiono za ten kapitał jakie dwie trzy włóki gruntu wśród wsi rozparcelowanej i pozostano tam, choćby w przebudowanych nieco dwojakach chłopskich pod dachem słomianym i założono wokoło tego własnego domku ogród zrodzającami im owoce drzewami, z dającami im woń kwiatami, i pracowano tam tak, jak teraz pracuje mąż po pięć godzin dziennie siedząc przy biurku, mały urzędniczek prywatny, który musi punktualnie być na miejscu o godzinie oznaczonej, z wesołym czy smutnym sercem, jak to było niedawno gdy mu obaj synowie chorowali na szkarlatynę! Gdyby pracowano tam tak, jak teraz zamierza pracować żona, sprzedając mleko kucharkom! Gdyby pracowano tak w rodzinnych stronach, wśród przyjaciół i krewnych, na własną korzyść i z nadzieją dorobku, a choćby tylko szczęśliwie przeżytego życia i wychowania dzieci, i prowadzono przytem tak oszczędne, tak skromne życie, jak obecnie w szczupłym mieszkanku.

Gorszy, niż się miało niegdyś los odważnie znieść i wynieść z potopu arkę rodzinną: to nie wstyd, ale tytuł do chwały, a gdy się do tego dołączy zasługa, którą taki gospodarz na małym folwarczku oddaje społeczeństwu, pozostając wśród ludu wiejskiego, którego teraz właśnie, on pracowity, on oszczędny, on pańskości blaskiem nie odziany, stałby się nauczycielem i przewodnikiem, do radcą, przyjacielem: to istnienie jeszcze nie najgorsze, nie poniżające, nie budzące litości, chyba w lekkomyślnikach i ludziach lichych. Tylko nie czekać do godziny ostatniej, do ostatniego grosza! Obliczyć się odważnie, i mężnie ostać się ze stanowiskiem, którego się już utrzymać nie da, a zresztą uniesionej fortuny zacząć, jakoby nowe życie osadnika na nowym lądzie, do którego się dobiło po burzy—nowe życie bez powozów i cugów, lokai i kucharzy, bez fanaberyi szlacheckiej, lecz tylko z uczciwą szlachecką tradycją ta-

kiego służenia rzeczy publicznej przez gorący pot na czole, jak służyło się jej niegdyś przez strugę krwi z pod serca wylanej. Tak to, jak tamto, ma zasługę równą sobie, gdy do jednego celu zmierzają. Zmienione czasy każą nam tak szatę cnót naszych zmieniać, jak rozum każde nam wśród położeni nowych wybierać nowe życia formy.

(Dokończenie nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— To nie ulega wątpliwości. Ja i ks. de Fleury możemy być świadkami uroczystości danego słowa, którego król złamać nie może, a oprócz tego, prośba o dyspensę do Rzymu, choćby nie była potrzebną, da pewność na piśmie. Więcej wymagać nie można.

Milcząco przyzwoliła królowa, ale westchnienie się z jej piersi wyrwało.

— Mówmy otwarcie — rzekła. — Miałam czas poznać dobrze Króla Kazimierza i ocenić przymioty jego: przedewszystkiem wielką i szczerą pobożność, szlachetne popędy, serce dobre, ale zarazem dziecinną płochosć, brak męskiego wytrwania, łatwe zarówno rwanie się i zrażanie do wszystkich. Wiem zatem, jak ciężkiego podejmuję się zadania, stając u jego boku na straży godności, czci i przyszłych losów Rzeczypospolitej.

— Kraj też i my to ocenić potrafimy — rzekł Radziwiłł. — Oddany sam sobie, nie podola Jan Kazimierz ciężkiej chwili, w jakiej jesteśmy obecnie. Nie mamy kogo innego; jest to krew królów naszych, od Boga przeznaczona.

Z tego uroczystego nastroju rozmowa stoczyła się zaraz na sprawy powszednie, które sejm właśnie zajmowały; wojsko, wybór wodzów, dowództwo, które dać chciano Jeremiemu Wiśniowieckiemu, obawy i zazdrość, jakie budziła jego wziętość i zdobyta już sława!

Byli tacy, co nie tylko hetmanom nim grozili; ale znajdowali niebezpiecznym dla króla, iż on sam miał całą sławę zwycięzcy przywłaszczyć sobie.

Z drugiej strony nienawiść, zajadłość Chmiela i Kozaków przeciwko Jeremiemu, świadczyły najlepiej, że jego imię samo już grozą było dla nich i postrachem. Możnaż było tak potężne odrzucić narzędzie?

W sejmie też rozbijały się zdania. Kisiel, który znał siły zbuntowanej Kozaczyzny i Tatarów najlepiej, wołał o układy naprzód; inni je jako srom uważali i żądali zwycięstwa, któreby hańbą piławecką obmyło.

Pocieszyć się tem było można tylko, iż poczynać od duchowieństwa, wszyscy z chętności spieszyli ofiarami, po kilkuset ludzi, po kilka tysięcy złotych przynosząc Rzeczypospolitej, według przemożności. Sam Radziwiłł liczbę dragonii i piechoty obiecaną już powiększył, a oświadczył się do ostatniej koszuli poświęcić wszystko.

— Gotowem ojczyście moje sprzedać dobra — mówił publicznie. — Zniszczyli mi Olykę. Bóg dał, Bóg wziął, ostatnim kęsem chleba trzeba się podzielić z matką.

Tak mówili prawie wszyscy, a bardzo małeńka chyba cząstka bojaźliwie się na prywatę oglądała.

Cieszyła się tem królowa.

Na umówiony dzień kanclerz stawiał się do Nieporętu, a król przyjęciem serdecznym starał się zatrzeć wrażenie popełnionego błędu. Nikt zresztą mniej uraz nie był pamiętnym, nad Radziwiłła, który niejednokrotnie tej powolności dał dowody Władysławowi.

Przyszło do wspomnienia królowej. Król z go-

raćością wyraził, że życzy sobie nieporozumienia ślady zatrzeć i gotów jest mówić otwarcie, zobowiązać się uroczysto.

— Położenie tego wymaga — rzekł kanclerz — królowa ma prawo żądać ubezpieczenia. Sama godność kobieca ją zmusza.

Król Szwedzki pośpieszył upewnić, że na wszystko był gotowym i uznawał konieczność otwarcie porozumienia się. Radziwiłł podszeptem, iż podpisanie prośby o dyspensę, choć późne, mogło być rękomią.

I na to się już zgodził Kazimierz. Sam on w siebie usiłował wmówić, iż innej drogi nie było, i że się powinien był czuć szczęśliwym.

Incognito wieczorem, potajemnie, mieli się z kanclerzem w dniu naznaczonym znajdować. Dzień ten tak teraz pragnął przyspieszyć Kazimierz, jak wprzód go chciał odwlekać.

Z zupełnym spokojem, pewna siebie królowa, wydawszy stosowne rozkazy, oczekiwała zapowiedzianych gości. Jeden ks. Fleury, spowiednik Maryi Ludwiki, miał być świadkiem tych odwiedzin, które los królowej rozstrzygały i przyszłość jej zabezpieczały.

Oile małżonek mógł dosyć być wstrętliwym wykwinętnego smaku pani, o tyle położenie, jakie jej zapewniał, pożądaniem było. Wrócić do Francji, która się jej stała prawie obcą, nie mogła, ale w Polsce popierać interessa jej pragnęła gorąco.

Z jakim uczuciem wszedł Król Szwedzki, który usiłował rozradowanem obliczem pokryć swe zakłopotanie, domyślić się łatwo. Dodawał sobie męstwa, ale królowa nadzwyczaj zręcznym, śmiałym i swobodnym powitaniem, w którym nie było najmniejszej oznaki urazy i żalu, przyczyniła się do ośmielenia go.

Radziwiłł wziął na siebie takie poprowadzenie rozmowy, aby oświadczenie się króla jaknajmniej go kosztowało, a przyszło jaknajskładniej. Z zimną krwią i zupełnym panowaniem nad sobą, ze zręcznością kobiety, która się wychowała na dworze, Marya Ludwika przyjęła oświadczenie, umiarkowaną wdzięczność i uczucie objawiając przyszłemu małżonkowi, który starał się okazać rozmiłowany i pełnym galanterji. Nie wiele to kosztowało króla, który wistocie dla każdej kobiety miał jakąś sympatyą zmysłową i częstokroć najdziwniej ją okazywał.

Z uśmiechem ironicznym Marya Ludwika przyjmowała te spóźnione westchnienia i wejrzania.

Ks. de Fleury miał przygotowaną *minutę* prośby do Rzymu, którą, nie czytając jej, król podpisał.

Tak wszystko się skończyło pomyślnie, klamka zapadła. Przy podanej wiecezry powłosku, to jest słodyczach, zimnych przekąskach i winie, gdy kanclerz pił zdrowie obojga królestwa, Jan Kazimierz z kieliszkiem przystąpił do Maryi i pocałował ją w czoło.

Rozmowa, trochę winem hiszpańskim podbudzona, wpadła w ton lżejszy i przeciągnęła się jeszcze; ale król musiał powracać do Nieporętu i z tego powodu, zostawiając tu kanclerza, siadł do swej kolebki, oczekującej go w podwórzu.

W chwili, gdy już miał zając w niej miejsce, obejrzał się i zobaczył Strzębosza.

Jakim sposobem wąsik jego i twarzyczka przypomniła mu Bertoni i jej córkę, tego nie potrzeba tłumaczyć; ale co trudno się daje zrozumieć, to, że mu fantazja przyszła w towarzystwie Strzębosza zajechać na Stare Miasto do Włoszki.

Był w nadzwyczaj doskonałym humorze, ciekawy zobaczyć ową sławną piękną Biankę, o której wdziałkach tyle słyszał; przytem figiel jaki miał wyrządzić starej wprowadzając z sobą Strzębosza, dosyć mu się uśmiechał.

— Słuchaj Strzębosz — rzekł, przechylając się ku niemu — co ty myślisz? Ta stara Bertoni czy śpi już, z kurami poszedłszy do łóżka, czy?...

Dyzma nie dał dokończyć.

— N. Panie, tam czasem do północy śpiewają i grają.

Trochę się zawahał Kazimierz.

— Ale jak ty mi piśniesz, zem ja tam był...

Dyzma już szeptał coś na ucho woźnicy i sam na drazku stanął przy nim; kolebka ruszyła.

W ulicy panowały ciemności, ale droga była znana, a dalej odjechawszy, mogli zapalić pochodnie, których zapas mieli z sobą.

Król, popełniwszy nierozważę, zaczął jej żalować i obawiać się, aby go nie poznano; gotów był już zawrócić: ale wołał napróżno Strzębosza, który tak był przejęty swem szczęściem, iż ogłuchł na głos pana.

Zatrzymała się kolebka, ale król wysiadać nie myślał; wyrzwał z niej na kamienicę naprzód: świeciło się we wszystkich oknach górnego piętra.

— Strzębosz! słuchaj-no—zawołał, wychylając się—idź na górę, wywołaj do mnie Bertoni. Mogą u niej być goście, a nie chcę żeby mnie tu widziano. Powiedz jej, że kolebka stoi u drzwi.

Dyzmie tego tylko było potrzeba, ażeby go spuszczone z łańcucha. Drzwi kamienicy nie były jeszcze zamknięte, a choć na wschodach panowały ciemności, instynktem na nie trafił. Kto wie? bywał tu już może.

Zastukał, ale muzyka pono nie dawała słyszeć dobijania się do drzwi, musiał więc wnieść, aby królowi nie dać czekać długo.

W przedpokoju stała właśnie wystrojona Bertoni, rozmawiając ze służą, gdy w progu ukazał się Strzębosz.

Dyabeł ani upiór nie uczyniłby na niej straszniejszego wrażenia; zaczęła krzyżeć w niebógłasy, ale Dyzma przyskoczył do niej.

— Król jest ze mną! król! na Boga! cicho.. król.

Z pokoju, w którym zabawiano się i śpiewano, biegła spłoszona Bianka, z drugą jakąś dziewczką, ale Bertoni, co żywo im drzwi przed nosem zamknęła. Była tak zmieszana, rozgniewana, nastraszona, iż sama nie wiedziała co począć.

Strzębosz, jako poseł pana nieustraszonego, dalej spełniał, co mu polecono.

— N. Pan w kolebce tu stoi u drzwi waszych. Kto wie? możeby wam tę cześć wyrządził i zaszedł na chwilę, ale nie chce być ani widzianym, ani poznany.

Zwolna Bertoni oswajała się z tem, co ją niespodzianie spotykało, i przychodziła do siebie. Tylko mówić ze Strzęboszem, z tym zuchwałcem, kosztowało ją niezmiernie, ale musiała.

— U mnie krom obcej dziewczyny, która króla pewnie nigdy nie widziała, no, i córki, która go tak dawno nie oglądała, że nie pozna, niema nikogo: niech wysiadzie!

Bertoni stała uradowana i zła razem. Wolałaby była króla nie mieć, byle Strzębosza tu u siebie, nie widzieć. Była najpewniejszą, że Bianka go zobaczyła, poznała i że mu się przez dziurkę od klucza przygląda.

— Król czeka — dodał Strzębosz — ale na wschodach egipskie ciemności; niechciecie, przecież ażeby karku nadkręcił, a do takiego gościa ze świecą laną wyjść się przecie godzi każdemu.

Gdyby Strzębosza nie było! a! Bertoni byłaby tak szczęśliwą hałaśliwie, że cały rynek Starego Miasta dowiedziałby się o tem.

Nie patrzyła już na niego. Wpadła do pokoju, w którym ucichła muzyka. Chwyciła ze stołu lichtarze—i zwróciła się do córki.

— Pan Wojewoda Mazowiecki uczynił mi ten honor, że zjeździe tu na chwilę. Bianco! żebyś mi nie trzpiotała się, a o tej wizycie nikt wiedzieć nie powinien. Rozumiecie, wojewoda...

Ale zbyt przebiegłemu dziewczęciu widok Strzębosza dał już do myślenia, a uroczyste przyjęcie więcej jeszcze.

— Słuchaj — szepnęła do towarzyski swej Dzianotowny — przysięgam, że to nie wojewoda, ale... ja wiem kto...

Dziewczęta przejrzały się w zwierciadłach, poprawiły włosy, poobeiegały sukienki i stanęły w kątku, nie zapominając o tem, aby kątek był im do twarzy.

Tymczasem, ciągle mruczając przekleństwa i wykrzyki jakieś, Bertoni zeszła aż na dół, do drzwi a Strzębosz pośpieszył króla dobyć z kolebki.

Jan Kazimierz w przeciągu tego krótkiego czasu, gdy Dyzma na gorze negocjował, już się był rozmyślił i niezmiernie żałował popełnionego

wybryku, który ani wiekowi, ani dostojństwu jego nie przystał. Ale przyszło mu na myśl francuzkie przysłowie o utoczonem winie, które wypić było potrzeba.

Widmo starej Bertoni stało w progu, czekając na niego, musiał wnieść na górę.

— Nie mam czasu nad pięć minut — szepnął król — ale, ale... pragnienie mnie pali, potrzebowalem się napić wina z wodą... dlatego...

Plątał się, śpiesząc już na wschody, których znaleźć nie umiał, Strzębosz go ujął pod rękę. Włoszka poszła ze światłem przodem.

Odwrociła się do króla.

— Bianco powiedziała, że Wojewoda Mazowiecki — szepnęła.

Strzębosz parsknął, bo między królem a panem wojewodą najmniejszego nie było podobieństwa, a co gorzej, Bianka wojewodę często bardzo widywała, więc się kłamstwo wydać musiało.

Dosyć niespokojny, ale razem mocno ciekawy, bo dziewczęta go niesłychanie ku sobie pociągały, Kazimierz wszedł do pokoju Włoszki bawiał nego, rozglądając się po nim.

Pozostałe dwie świece dosyć słabem światłem oblewały dziewcząt dwoje, stojących i chichoczących w kątku.

Król wprost poszedł ku nim.

Piękność Bianki, świeżość i młodość Dzianotowny, uczyniły na nim wrażenie takie, jak czasem woń wiosenna kwiatów, na tych, co długo świeżego nie kosztowali powietrza.

Stanął, zapominając o wszystkim, uśmiechnięty, rozmarzony.

Strzębosz zdala od progu strzelał też oczyma ku swej pani.

Bertoni, która chciałaby była pozostać na straży, musiała zająć się przyjęciem.

Dziewczęta chichotały ciągle, kryjąc się jedna za drugą.

Dopiero po chwili kontemplacji tego obrazka, jaki miał przed sobą, król, westchnąwszy, usunął się kilka kroków i padł na krzesło.

Z drugiego pokoju, z pomocą sługi, Bertoni niosła na przepysznej tacy srebrnej, w złocnym dzbanku wino, w szlannym wodę i kubki. Oprócz tego cukier, cytryny i pomarańcze leżały na misie.

Wszystko to postawiła przed królem, który tymczasem z oczów Bianki nie spuszczał.

— Nie mam czasu — szepnął jej król — niech mi jedną tylko jaką piosnkę zaśpiewa, głos po słyszę.

— Zaśpiewać i zatańcować-by mogła — przerwała Bertoni — ale... czy to pora? Ja się nie przygotowałam. Gdybyście mi byli dali znać!

— Moja Bertoni, pięć minut temu, jam nie wiedział, że to głupstwo zrobię — zaśmiał się król — ale wszystkiemu winien Strzębosz. Jak zaczął mnie prosić, błagać, modlić... a ja mam słabość do niego.

Włoszce się oczy gniewem zaiskrzyły.

— No—niech Bianka zaśpiewa — naglił król.

— Ale kaźcie mu odejść do antykamery — przerwała Bertoni.

— Komu?

— A! temu zuchwałcowi—poczęła Włoszka—ja na niego patrzeć nie mogę.

— Tak, ale ja bez niego się obejść nie umiem. to moja straż, musi stać w progu.

Bertoni mogła się niecierpliwie i gniewać, gdyż wistocie Strzębosz, nie tracąc czasu, zjadał oczy ma dziewczę, które mu strzelistemi, dziecinnie naiwnymi wejrzeniami odpowiadało.

Pieszczona Bianka, śmiała, nie obawiała się ani matki, ani nikogo. Włoszka poszła ją namawiać do śpiewu, z czem się nie bardzo drożyła, szło tylko o wybór włoskiej piosenki. Sama po dała jej cytrę. Bianka ją przebiegła palcami popatrzyła na Strzębosza, obróciła się ku królowi i zanuciła sopranem słowika.

Piosenka? o czemże włoszka może nucić piosenka? Jej osnową ta wiekuista, umierająca i odradzająca się miłość, na której obraca się życie.

Jan Kazimierz zapomniał się wpatrzywszy w jej oczy, a Dyzma, który głosu tego nie słyszał nigdy, w zachwyceniu osłupiał. Śpiewała, jak słowik.

Bertoni stojąc tuż nad córką, jakgdyby ją skrzydłami otulić chciała, promieniała dumą, szczęściem, ale razem pałała gniewem. O taką perłę uryńską, jak ona zwała córkę, śmiał się starać jeden taki chłystek, pokojowiec króla wprawdzie... ale mizerny, ubogi szlachetka. Nie byłóż to karygodnem?

Niewiadomo, jak długo by była potrwała ta scena dziwna, gdyby Kazimierzowi nagle groźna twarz Maryi Ludwiki nie stanęła przed oczyma. Dopił pośpiesznie wina i wstał.

Zbliżył się do Bianki, którą poufale pod brodę pogłaskał, i zdjąwszy pierścien z palca—była to jeszcze więzienia francuzkiego w Sisteron pamiętka, pożegnał zarumienioną śpiewaczkę, skłonił się matce, kapelusz na głowę wdział bez ceremonii i do drzwi pośpieszył.

W chwili, gdy Bertoni chwyciła za lichtarze, zręczny dworak wśliznął się poza nią i w mgieniu oka rączkę Bianki porwawszy, do ust ją przycisnął, szepejąc coś niezrozumiałego. Dziewczę niby się cofnęło przed tą napaścią, ale niezbyt przestraszone.

Szli już ku drzwiom, bo król gniewny sam na siebie za słabość i nieopatrzność, rad był co prędzej się ztąd wyrwać.

Odetchnął dopiero swobodnie, gdy znowu się znalazł w kolebce, a posłuszny swej naturze, płochy krok tem zamknął, że się pobożnie przeżegnał i w piersi uderzył.

Pochodnie zapalić miano dopiero na przedmieściu, gdy się na drogę ku Nieporętwi wybiorą.

Nie przewidywał wcale Kazimierz, jakiego kłopotu sobie miał przyczynić, zbaczając do Bertoni. Starosta Butler, który wiedział, że w towarzystwie jednego woźnicy, Strzębosza i dwu pacholików miał król po nocy wracać do Nieporętu, niespokojnym był o niego. Czas ów elekcyjny napełnił okolice, przedmieścia, miasto, napilią szlachtą, ciurami i zacieźnymi żołnierzami różnych dworów, którzy się niemal codzień napaści różnych i burd dopuszczali.

Lękając się o króla, nagotował się Butler na drodze w kilkanaście koni mu towarzyszyć. Tymczasem zmierzchno, nocnadeszła, a króla jak nie było, tak nie było. Butler, znicierniwiiony, zaczął się domyslać, że może król inną pojechał ulicą, chociaż to wcale nie było prawdopodobnem i powysyłał ludzi na zwiady.

Kolebka nadciągnęła, gdy ta eskorta była rozproszona. Zapalono pochodnie i Kazimierz ze swoją małą służbą puścił się dalej.

Dopiero dobrze za przedmieściami Butler, jakimś instynktem, napędził jadących.

Król poznał głos jego, wychylił się i za całej tłumaczenie opóźnienia rzucił mu:

— Na zamku mnie wstrzymano.

Byłby temu uwierzył starosta może, gdyby na twarzy Dyzmy przy świetle pochodni nie dojrzał szyderskiego śmiechu.

— Gdzieżecie wy byli? — zapytał Butler pochylając się Strzębosza.

Ten palec położył na ustach.

Starości aż ciarki poszły po plecach, uląkł się. Znał króla i mógł go posadzić o najdziwniejszy wybryk. W innej chwili nie miałby on znaczenia, ale teraz... gdy na przyszłego pana wszystkie oczy były zwrócone!

Od Strzębosza dowiedzieć się próżno było próbować; musiał więc jechać tak do Nieporętu, a tu przybywszy, król zaraz się uklął modlić, poczem do łózka poszedł.

Nie było zbrodnią wielką płochę to wyswobodzenie się znudzonego kandydata do korony, ale złośliwe języki mogły z tego coś skleić i zaledwie przejednaną królową zniechęcić.

Nazajutrz, wstawszy w najokropniejszym humorze, król, po mszy świętej odprawionej przez kapelana, po śniadaniu, po rozsądzeniu krwawego zajścia między karłami, wziął Butlera na stronę.

Wyznał mu, że... ze wszystkiego, co się stało i odstać nie mogło, był najniżejszczęśliwszym. To, co wczoraj mu się wydawało różowem, teraz widział czarnem okrutnie. Królowa wydała mu się starą i żółtą, a co gorzej, despotyczną.

Lecz słowo zostało wyrzeczone przy świadkach, papier podpisany.

— N. Panie — rzekł Butler — dziś już za późno ubolewać nad tem, co było bodaj nieuniknionem. Królowa wprawdzie, jak każda kobieta, zechce panować, ale w. król. mość potrafi się jej oprzeć...

Naostatek przyznał się pocichu przyjacielowi król, jak niepotrzebnie wczoraj zбочzył na Stary Rynek; lecz starosta się rozsmiał i nie widział w tem nic zdrożnego, a zaręczył, że ludzie pewno tajemnicy nie zdradzą, z której zresztą wytlómaczyć się było łatwo.

Następnych dni Mazurowie się z dyssydentami ucierali i do głosowania na wybór króla nie douszczono. Trzy czy cztery razy już klękali wszyscy dla zaintonowania *Veni Creator*...—i zawsze ktoś zaproteutował.

W sejmie wiadomość o pojednaniu się braci i ustąpieniu korony przez Karola bratu nie zrobiła tego wrażenia, jakiego się spodziewać było można. Niektórzy to za frymark poczytywali, i oppressyą wolności Rzeczypospolitej, ale mało kto słuchał malkontentów.

Wybór był już tylko rzeczą formy, bo wistocie od chwili pojednania nie ulegał wątpliwości. Szło tylko o pakta konwenta, to jest o warunki, jakie królowi nałożyć miano. Za wzór wzięto Władysławowskie.

Kazimierza już królem wszyscy mianowali; nie potrzebował siedzieć w ciasnym Nieporęcie; więc się zaraz przeniósł do Warszawy.

Tu, na zamku, po całych dniach, jako już przyszły pan, naciskowi gości i wcześniej chcących sobie łaski zaskarbić ledwie się mógł obronić, aby mieć chwilę wypoczynku, a królowa też po kilka razy na dzień domagała się widzenia z nim, na której wezwanie pośpieszać musiał.

Dla człowieka, który nigdy myśli długo na najpoważniejszym przedmiocie zatrzymać nie umiał, którego wysiłek każdy męczył, a nawyknięcie do rozrywek czyniło miękkim — obecne położenie było straszliwą męczarnią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST Z ANGLII.

Londyn 1 Marca 1886 r.

Rozmowy moje z wami zaczynam w chwili, gdy Londyn nie jest bynajmniej tak ożywionym jak inne stolice Europy o tej porze, bo Anglia nie ma takiego karnawału, jak cały ład stały, i zima londyńska odznacza się tylko panowaniem mgły. W Anglii szlachta wiejska daje do dziś dnia ton życiu towarzyskiemu i stanowi o jego ruchu, otóż w obecnym czasie nie ma jej tu wcale i zjedzie dopiero wraz z otworzeniem parlamentu, gdy parowie przybędą zasiąść ławy Izby Wyższej, a synowie ich i szlachta drugiego stopnia w hierarchii artystokratycznej, zajmie miejsca swoje w Izbie Gmin. Wtedy przybędą wraz z niemi z zamków i dworów swoich panie i panny, wtedy Londyn zarozi się tłumem świetnym pysznych ekwipaży z galonowaną służbą, otworzą się pałace pańskie na West End, na którym już w tej chwili nie ma znaku tragicznej sceny, która wstrząsnęła całym Londynem. Zaczyna się też wtedy karnawał angielski, a raczej londyński „sezon“, jak się tu mówi i maj, czerwiec, należą do najwięcej ożywionych, wesolych miesięcy Londynu, który wtedy w arystokratycznych dzielnicach swoich tańczy, popisuje się w parkach, wyprawia sobie regaty na morzu, aby z początkiem Lipca znowu zamilknąć i wrócić do swej zwykłej fiziognomi mieszczańskiej, którą traci w czasie sezonu.

Szlachta wtedy odjeżdża do domu na żniwa i sprasza do siebie na wieś wszystko, co w sferach urzędniczych, prawniczych, literackich jest z nią spokrewnione, lub zaprzyjaźnione. Że zaś patryarchalne obyczaje jeszcze się w Anglii utrzymują, że opinia publiczna nakazuje szlachcie angielskiej nie zrywać węzłów, które ją łączą z lu-

dem wiejskim, że wobec tej opinii jest to bardzo źle notowanem, aby podwoje dworów pańskich były na głucho zabite, należy to do obywatelskich obowiązków wiejskiego angielskiego pana, zwłaszcza, gdy rodzinę już tworzy, aby był w domu na Święta Bożego Narodzenia, które się tam obchodzą bardzo suto i gościnnie, na sposób przypominający nasze dawne czasy. Mają się ostrokrzewiem i gałązkami jemioly wielkie sienie dworów i pałaców, a kłoc dębiny pali się tam na ogromnym kominie, który przypomina też nasze dawne kominy z okapami, i święta Bożego Narodzenia, to największa uroczystość w Anglii z miłym bardzo charakterem rodzinnym, bratersko chrześcijańskim, bo wszystko rzeczywiście weseli się w te dni i uctuje. Panowie wiejscy mają to sobie za obowiązek, aby nikt w obrębie ich włości nie cierpiał tego dnia braku i miał co zjeść i wypić. Trzeba to przyznać szlachcie angielskiej, że stokroć lepiej, niż obecnie wszelka inna, umie utrzymywać związek z ludem i pod tym względem też przypomina Polakowi, który się rodził na wsi, więc i waszemu powolnemu słudze, nasze dawne obyczaje, zachowywane po dworach.

Kobiety angielskie chwalić też trzeba za to, że są jak się godzi paniami wiejskimi że je łączy z wioską tak jak nasze staropolskie matrony, pewien stopień dobrych stosunków znajomości i zażyłości przyjaźnej, nawiązującej się zwłaszcza przez służbę dworską, która nieradko pokolenie za pokoleniem we dworze służy i potem na wieś wraca, aby z czasem dzleci swoje dworowi znów przysłać.

Po Świętach Bożego Narodzenia, po Nowym Roku, wyjeżdża niejeden magnat lub bogaty szlachcic do Paryża na karnawałowania, a czasem do Włoch, do Rzymu. Panie elegantki, i panny, które się chcą pokazać światu, jadą, ale tylko ze sfer najbogatszych. Szlachta, nawet zamożna siedzi u siebie po wsiach, gospodaruje, poluje, jeździ w sąsiedztwa; nawet do Londynu na karnawał zjeżdża już tylko ta, która ma worek dobrze pełny. Czy znacie tam u nas nowelki i powiastki o tej szlachcie właśnie, Janka Ludlow (Johny Ludlow)? Niezmiernie miłe i wyborne są to rzeczy, fotografie życia wiejskiego niesłychanie podobne do naszego, jak przynajmniej bywało przed dwudziestu laty. Wuj Janka, szlachcic starej daty, pyszny! Można go w ramki oprawić i powiesić obok naszych hreczkosiejów, a przywitają go za pana brata.

Otóż Londyn o te czasy jeszcze nie jest ożywionym, rozruszonym Londynem i ludzie siedzą w domach, pracują, od czasu do czasu zjedzą ze sobą obiad, idą do teatru, na koncert, a teatrów i sal koncertowych mają tu mnóstwo, dla każdego stanu i każdej kieszeni. Świat muzyczny tutaj tutejszy poniósł świeżo wielką stratę: umarł młodo, bo w 38 roku najpierwszy tenor angielski, Józef Maas. Głos był nie tak wielkiej skali, jak bardzo czysty i dźwięczny, bardzo słodki Partya jego w Wagnerowskiej operze *Rienzi*, w roli tytułowego bohatera, oraz pierwszego kochanka w operze Massenet'a „Manon Lescaut“ należały do jego najlepszych. Cała rodzina królewska zaszczycąła go swemi względami, a książę Battenberg niezmiernie go lubił i był na każdym przedstawieniu *Rienzi*. Biedak! zrobił majątek wielki i umarł zanim mógł go użyć. Człowiek był uczciwy i szanowany, to też oprócz bardzo licznego konduktu żałobnego, świadczącego, że był ceniony i miły ludziom, sformował się zaraz po jego zgonie komitet ze znakomitszych muzyków i wogóle członków artystycznego świata Londynu, aby wzniesić mu na grobie pomnik ze składek publicznych, i ustanowić stypendyum jego nazwiska dla kształcącej się w muzyce młodzieży niezamożnej. On sam łamał się kiedyś ciężko z trudnościami życia i nauki, którą zaczął od tego, że należał do chóru chłopców przy katedrze w Rochester. Ogólną litość i sympatyę budzi jego bardzo młoda żona, z którą żył niespełna lat dwa, a która straciła w jednym roku ojca, brata i męża. Ma rok dwudziesty drugi i została na świecie samotna z małym dzieciatkiem tylko, z trzymiesięczną córeczką.

I na scenie londyńskiej, tak, jak na estradzie koncertowej, niema tego żywszego ruchu i nowości, na jakie trzeba czekać aż do sezonu le-

tniego. Wtedy to dają się sztuki nowe, wtedy odbywają się występy gościnne francuzkich, włoskich aktorów. Obecnie mamy tu tylko od-czyty wszelkiego rodzaju i w rozmaitych kierunkach naukowych. Różni się one tem od waszych warszawskich, że prelegent wyjątkowo poprzestaje na jednym. Jeżeli nie jest to serya cała, to choć dwa, trzy, aby przedmiot mógł być podany nie ułamkowo. Mnóstwo kobiet ucześnie na nie, i najpoważniejsze przedmioty nie odstraszają ich bynajmniej. Bywają często i na katedrze kobiety, traktujące przedmioty klasyczne, naukowe i o Angielce można powiedzieć w najlepszym znaczeniu tego słowa: hic mulier! Wszystko ludzkie zajmuje ją, bo czuje się człowiekiem.

A stała się tu w tych czasach awantura, zbliżona kobiecości angielskiej dotykająca, a tem głowniejsza, że się z nią łączą względy poboczne, wiele rzecz potęgujące: chodzi tu o rozwód lorda Crawford z żoną. Choć za panowania królowej Wiktoryi bardzo niewiele zdarza się rozwodów, zwłaszcza w sferach wyższych, nie ten sam fakt uderza tu, że jakiś lord rozwiódł się ze swoją lady, ale jak to mianowicie odbiło się na tle obyczajów angielskich. Gdyby ktoś powiedział:—Karol Dilke nie otrzymał teki ministra, do której był przez swych kolegów gabinetowych dwukrotnie powołany, Karol Dilke, nie został strażnikiem pieczęci państwa, ponieważ lord Crawford rozwiódł się z żoną!... brzmieć by się to zdało, jak żart jakiś wesoly, a tymczasem jest to prawda bardzo poważna. Karol Dilke był przyczyną rozwodu! Karol Dilke człowiek żonaty! Otoż wobec powagi uczciwych obyczajów angielskich człowiek, w ten sposób lekki, nie mógł zostać wysokim dygnitarzem państwa. Czekano z rozdanem tek ministerjalnych na rezultat sprawy rozwodowej; sprawa była tak przeprowadzoną, że choć lady Crawford została uznana winną, nazwisko współwinnego człowieka, zostawiono niewymienionem w motywach wyroku. Że przecież wymieniał je głos ogółu, że ciążyło na tem nazwisku podejrzenie bardzo drażliwe dla Anglików—podniesienie człowieka tak posądzanego do godności członka rządu angielskiego stało się niemożliwością. Królowa Wiktorya konferowała w tej sprawie z Gladstonem półtrzęcej godziny i — ponieważ lord Crawford rozwiódł się z żoną, Karol Dilke nie został strażnikiem pieczęci korony!...

W tej chwili, gdy to pismo moje was dojdzie, już go zapewne nie będzie w Anglii. Dotknięty kłeską skandalu, wyjeżdża on z żoną za granicę.

Jeżeli kto z czytelników przychylnych Anglii, lękał się kiedy o nią wśród przebiegu spraw europejskich, niechże będzie spokojny, bo naród który ma takie obyczaje, taką siłę opinii, mocno stoi na nogach i ma pod niemi grunt nie wywrotny. Z tego, co było wyżej, a co chciałem umieścić na wstępie, jako charakterystykę społeczeństwa, o którym pisać mi każeć, dopatrzycie się, że tam bawią się tylko ludzie bogaci i szczęśliwi tego świata, a ogół pracuje bez żadnego karnawału, nikomu zaś nie wolno bezkarnie być płochym letkiewiczem.

Zanosi się i w świecie literackim na wypadek równie niemiły, dla tak poważnego jak Anglia narodu. Niewątpliwie wiecie, kto był Carlyle: pisarz wielkiego talentu, ale natura dzika, ostra i samolubna, poprzednik Bismarcka, apoteuszujący siłę i kładący ją przed prawem—w stosunkach rodzinnych i towarzyskich grubianin i człowiek bez serca. Już dość popisał o nim po jego śmierci literat Froude, rzeczy, które nie powinny były dojść do wiadomości szerszego ogółu; gdy oto, ledwo hałas ten niemiły ucichł, sekretarz zostający przy boku Carlyla lat dziesięć, Henryk Larkin, zapowiedział wydanie książki: „Carlyle i tajemnice jego życia“. To długoletnie pokutowanie pośmiertne smaganego w swej pamięci człowieka, wywarło tak przykre wrażenie w londyńskich kołach literackich, że poeta Robert Browning, choć osobistość zupełnie innego ustroju ducha jak Carlyle, spalił całą swoją korespondencją prywatną, aby i jego cieni nie wprowadzono tak na widownię świata, sądząc go na podstawie dowolnych wniosków i przypuszczeń.

W ślad za nim dokonał tego amerykański historyk, Whitter pod grozą podobnego losu. Stała się szkoda pod względem literackich i psychologicznych studyj nad ludźmi, interessującymi ogół, ale się dziwić nie można tym, którzy to uczynili.

Świat postępuje nie w jednym kierunku *very fast*... jak tutaj mówią. Ale znowu powtórzę:— Bądźcie spokojni o Anglię! bo mamy tu i inną literaturę. Lord Rosebery, jeden z ministrów obecnego gabinetu, też się troszczy o stare papiery i chce je wprowadzić na światło dzienne, tylko innego rodzaju: Szkot rodem, zawiązuje towarzystwa drukowania wszystkich materiałów, należących do historii szkockiej, a znajdujących się w archiwach rządowych lub prywatnych. Szkoci entuzjastycznie się do tego dzieła i piszą, że będzie to pomnik większego znaczenia, niż kolumna, która w dniach chwały szkockiego narodu wzniesioną została na wzgórzu Carlton-Hill. Książka poety Swinburne o Wiktorze Hugo, zawierająca 130 kart, a traktująca Hugo jako poetę i człowieka, patryotę — władcę duchowego dziewiętnastego stulecia, ma się też wkrótce ukazać na widok publiczny. W następującym liście więcej miejsca poświęcę literaturze i sztuce angielskiej.

F.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Lutym 1886 r.

Karnawał. — Straszna katastrofa. — Zadanie rady miejskiej. — Wyższa szkoła żeńska. — Odczyty dla kobiet. — Odczyt prof. Próchnickiego. — Nieustająca wystawa sztuk pięknych. — Dykasa nowy model na pomnik Mickiewicza i jego podróż artystyczną. — Księgarz Adam Bartoszewicz.

(Dokończenie).

Nieustająca wystawa sztuk pięknych pod kierunkiem niestrudzonego w swej o nią dbałości i gorliwości członka zarządu p. *Grelińskiego*, wzbogaciła się znów kilku świeżo przybyłymi utworami malarstwa i rzeźby. Publiczność nasza, znajdując na wystawie co parę tygodni coś nowego, zaczyna coraz liczniej na nią uczęszczać, i że tak powiem, przyzwyczajają się zajmować sztuką i nabiera w niej zamilowania. Zaznamiła też nas wystawa z kilku już nowymi imionami rozpoczynających zawód pod dobrą wróżbą młodych artystów. Z obrazów do tej liczących się kategorii zwracała najbardziej uwagę publiczności większych rozmiarów kompozycya *Rauchingera*, „Chrystus uzdrawiający córkę Jaira.“ Znac w tym obrazie artystę myślącego, postacie pojedyncze posiadają wiele charakterystycznego wyrazu, a w wykonaniu szczegółów, nawet drobniejszych, widać technikę wysoce już posuniętą. Są to niepospolite zalety, przemawiające za obrazem, który, pomimo czynionych mu zarzutów, należał do celniejszych na wystawie. Obecnie wrócił już do Krakowa, wraz z kilku innymi, ustępując miejsca nowo przysłanym. W dziale rzeźby przybyło ostatnimi czasy *Baręcza* popiersie gipsowe „króla Sobieskiego“ i *Kurzawy* grupa allegoryczna „Wawel i Wisła.“ Zapowiedziany też jest nowy obraz *Krzyszka*, i sześć obrazków *Stachewicza*, ilustrujących znaną bajkę ludową „Dziad i Baba“, której treść nastroczyła *Kraszewskiemu* przedmiotu do humoreski wierszowanej. Zarząd tutejszy wystawy udał się do dyrekcyi muzeum w Krakowie o przysłanie najakładniej czas wystawionych tamże obecnie projektów na pomnik Mickiewicza, wykonanych według projektu *Matejki*. Publiczność tutejsza rozciekawiona, pragnęłaby obaczyć je i sprawdzić własnym sądem rozmaite o nich zdania; lecz niewiadomo, czy starania ku zaspokojeniu tej ciekawości odniosą skutek.

Rzućmy jeszcze pobieżnie przynajmniej wzrokiem po wystawie, aby zanotować niektóre bardziej zwracające uwagę obrazy, nim będą usunięte, a wystawa znów postać swą zmieni. Najpierw nasuwa się nam *Ajdukiewicza*, portret naturalnej

wielkości śpiewaczki „p. Reszke“, bardzo pięknie malowany, posiadający wiele wdzięku artystycznego. *Ajdukiewicz*, jako malarz i kompozytor, zwłaszcza scen wojskowych, stanął już wysoko. Obrazy jego mają wiele naturalnej prawdy, a przytem tego poczucia artystycznego, które czyni je sympatycznymi i owiewa poezią. Zalety te uwydatniają się w równym stopniu także w portrecie, o którym mowa. Należy on do najlepszych obrazów na wystawie. W innym zupełnie sposobie malowany i innemi w swoim rodzaju zaletami odznacza się duży obraz *Pruszkowskiego*, przedstawiający „Processyę ludową w dzień Matki Bożki Zielnej.“ W ściśniętym tłumie widzimy tu nagromadzone wybornie z natury wzorowane typy włościańskie, mianowicie kobiet z pękami ziela, idących w processyi i dzieci. Postacie wszystkie doskonale pochwycone, pełne rozmaitości, przy wiernem zachowaniu typowego wyrazu każdej fizioognomii. W całej grupie jest może trochę za wiele tłoku, z trudnością mieszczącego się w ramach obrazu, ale artysta starał się korzystać z warunków perspektywy, aby uwydatnić pochód processyi. *Swierżyńskiego*, „Wnętrze kościoła Maryackiego w Krakowie“, przypomniało nam swą dobrze wystudowaną perspektywą architektoniczną, nieodżałowanego *Alexandra Gryglewskiego*.

Z krajobrazów wyróżnia się *Maleckiego*, „Saska Kępa.“ *Lwówianin Zuber*, malarz młody, ale widocznie z każdym rokiem znakomite czyniący postępy, od czasu jak po raz pierwszy przed dwoma laty pojawił się na tutejszej wystawie, dał obecnie dwie głowy charakterystyczne, wybornie wystudowane: „głowę starca“ i „chłopa szwabskiego.“ Obrazki typowe *Stachewicza* bywają bardzo sympatyczne i znajdują zawsze lubowników na wystawie obecnej, „Wieśniaczka podnosząca dziecię do ucałowania obrazu świętego figury przydrożnej“, został sprzedany zaraz po przybyciu do Lwowa, a nawet było kilku ubiegających się o niego spółzawodników. Dobre to świadectwo i wróżba dla artysty. Z kompozycyi większego rozmiaru ściga jeszcze uwagę *Stasiaka* grupa artylerzystów otaczających działo, zamilkłe po wystrzeleniu ostatniego naboju, wśród toczącej się bitwy. Jest jakby groza śmierci rozlana nad tym obrazem. Spokój rozpaczliwy, milcząca, bohaterska rezygnacya, objawia się w każdej postaci, tworzących tę garstkę walecznych, na przymusową beczynność i na śmierć pewną skazanych.

Zpośród licznego dosyć zbioru akwarelli, odznaczają się najpierw, rzecz naturalna, kompozycye *Kossaka*, których jest kilka. Dalej znajdują się tu akwarelle, po większej części rozmaite typy ludowe: *Tępy*, *Fabata*, *Fociechy*, *Sozańskiego* i innych. Z rzeźb zwracają pomiędzy innymi uwagę dwa pomniejsze charakterystyczne popiersia *Langmana* „Ulicznik“ i „Wdówka“, tudzież dwie bardzo starannie modelowane rzeźby panny *Władysławy Gostyńskiej*, przedstawiające „Mnich“ i „Włoszkę“, jako dzieło ręki niewieściej, daleko już w zawodzie artystycznym posuniętej.

Kiedy mowa o rzeźbie, podczas gdy w Krakowie rozgrywa się nanowo sprawa pomnika *Mickiewicza*, nie od rzeczy będzie wspomnieć, że rzeźbiarz tutejszy *Dykas*, otrzymawszy za swe modele na tenże pomnik dwie już nagrody konkursowe, pomimo nieprzychylnych głosów, jakie się z wielu stron przeciw niemu ozwały, nie ustąpił z pola i wykonał trzeci jeszcze model pomnika zmieniony według wskazówek, objawionych w ciągu rozprawy kommissyi sędziów ostatniego konkursu.

Postać *Mickiewicza* przedstawia się tu nieco inaczej, niż na modelach poprzednich, a u stóp pomnika muszę i czerpiących z niej wodę geniuszów zastąpił artysta innemi allegorycznymi postaciami. Model ten przesłał artysta w darze do Muzeum narodowego w Krakowie. Niepodobna mu odmówić wielu zalet. *Dykas* posiada poczucie klasycznej prostoty i spokoju linii i znać w nim gruntowne studia w tym kierunku. W jesieni wyjechał ze Lwowa na cały rok w podróż artystyczną i bawi obecnie od dłuższego już czasu

w Rzymie, zkąd, po zwiedzeniu Neapolu, ma się udać z wiosną do Paryża, ztamtąd do Kopenhagi, Sztokholmu i na Warszawę wrócić na przyszłą zimę do Lwowa. Podróż ta nastreczy, jak widzimy, młodemu artyście sposobność poznamienia się z wszystkimi, co sztuka w zawodzie jego wydała najdoskonalszego tak w czasach klasycznej starożytności, jak i epoce odrodzenia a przestudyowanie wszystkiego, co na tem polu posiadają najznakomitsze muzea i zbiory w Europie wpłynie zapewne potężnie na rozwój talentu artysty oddanego całą duszą, aż do exaltacyi swemu zawodowi.

Zacząłem od karnawału a kończę nekrologiem.

Przed kilku dniami zmarł księgarz *Adam Bartoszewicz*, właściciel *Księgarni Polskiej*. Przed laty piętnastu przybywszy z zagranicy do Lwowa, założył małą, wyłącznie literaturze polskiej poświęconą księgarnią, którą z małych początków *Mrówczą* pracą i wytrwałością do dzisiejszego doprowadził stanu. Któż we Lwowie nie pamięta tej małej izdebki przy ulicy *Kopernika*, gdzie s. p. *Bartoszewicz* rozpoczął swój zawód księgarski, i pomimo szczupłych funduszy, zarazem szereg wydawnictw w rozmaitym kierunku, które pozostałą pożytecznym nabytkiem w naszej literaturze i pamiętką jego zasług w tym zawodzie położonych? Rozpoczął od wydawania pisma literackiego, którego tytuł *Mrówka* był niejako przyjętym przez wydawcę godłem pracy jego na torze obranym. Wkrótce zamiast pisma peryodycznego zaczął wydawać zeszytami „*Bibliotekę Mrówki*“, mieszczącą przedruki godnych upowszechnienia dzieł rozmaitego rodzaju, wierszem i prozą, najlepszych naszych pisarzy dawniejszych, jak i współczesnych. Prowadząc wyławnictwo to nieprzerwanie do ostatnich dni pracowitego życia, wydał *dwieście kilkanaście* tomików, które z powodu swej nader przystępnej ceny po dziesięć cent. mniejszy nakład, rozchodziły się w najszersze sfery czytelnicze i niosły światło tam, gdzie droższa książka z powodu swej ceny przystępu mieć nie mogła. Obok „*Biblioteki Mrówki*“ zajmował się też całym szeregiem innych ważnych wydawnictw, — mianowicie: wydał „*Bibliotekę historyczną*“ w której pomieścił przekład całych „*Dzieł powszechnych Schlossera*“ „*Historją polską*“ prof. *Roepella*“ i inne podobnej wartości dzieła. Podejmował też nakłady dzieł znakomitszych przyrodniczych i beletrystycznych. Wydał „*Dzieła Darwina*“ a w r. 1877 nabył i wydał przez czas dłuższy pismo literackie *Tydzień*, redagowane pod jego firmą przez grono młodszych pisarzy, do których należeli przebywający wówczas we Lwowie docenci uniwersytetu i politechniki prof. *Ochorowicz* i *Abakanowicz*. Ostatniem wydawnictwem s. p. *Bartoszewicza* było wydanie *Poezyi Mickiewicza* w czterech tomach, przedtem zaś dawniej już wydał w trzech sporych tomikach *Śpiewnik Polski*, w którym zgromadził ile się odszukać, przypomnieć i zebrać dało, śpiewy polskie okolicznościowe, które z dniem każdym coraz bardziej się zapominają. Ileż-to tam znajduje się najpiękniejszych prawdziwie natchnionych piosenek, które niegdyś brzmiały z akompaniamentem fortepianu w każdym dworku wiejskim, w których takt biły serca i dostrajały się myśli! — a dzisiaj mało kto już jest w stanie powtórzyć je bez błędu i przypomnieć sobie od początku do końca? Gdyby s. p. *Bartoszewicz* nawet nic więcej nie był uczynił na polu wydawniczym, to już samo wydanie tego *Śpiewnika* uratowanie od ostatecznej zagłady i niepamięci tego o cudnie pięknych nieraz barwach kwiecia poezyi narodowej, już byłoby niepożyłą jego zasługą, godną wdzięczności. Ostatniem czasy postanowił był s. p. *Bartoszewicz* zwinąć księgarnię i przenieść się w strony rodzinne na Litwę. Śmierć nagła nie dozwoliła wykonać zamiaru. Na parę dni przedtem dodał sto pięćdziesiąt kompletnych exemplarzy *Powszechnych dzieł Schlossera* wartości księgarskiej 4,500 złr. na rzecz tutejszego „*Towarzystwa oświaty ludowej*“.

Władysław Zawadzki.

DROBNE LISTKI.

— **Kwestya kobiety polskiej** podniesiona przez księcia Bismarcka i sekundującego mu posła Treskowa, nie zesłała dotąd z porządku dziennego Niemiec. „Westphälische Nachrichten“ zwrócili się w naczelnym artykule swoim do pruskiego barona z gniewnym zarzutem, że porównując Polkę z Niemką, ubliżył tej ostatniej, odsądzając ją od cnoty uczuć obywatelskich. Jako przykład, że tak nie jest, dziennik westfalski wzbudził papież Ferdynandy von Schmetau, córki dymisyonowanego pułkownika wojsk pruskich, która stała się sławną w r. 1813 z tego, że obcięła sobie włosy i sprzedawszy je fryzyerowi we Wrocławiu, otrzymane za nie 5 talarów złożyła na rzecz sztyftowanych wtedy przeciw Napoleonowi pułków ochotniczych. Skarb pruski był wyczerpany, król wydał do narodu odezwę o pomoc, mogącą powstać ze składek publicznych, lecz pułkownik von Schmetau miał jedyną dzieci i pieniędzy w domu nie było. Postanowiono sprzedać srebra stołowe, klejnociki matki i córek starszych, ale młodziuchna Ferdynanda (urodzona w r. 1798) nie posiadała na własność żadnej kosztowności, prócz ogromnych czarnych warkoczy, o których mówiono jej nieraz, że kupionoby je od niej drogo, gdyby były na sprzedaż, więc też teraz obcięła je w tajemnicy przed rodzicami, i zyskane w ten sposób pieniądze dołożyła do składek rodzinnej.

Ale przyniosły one wiele więcej, niż szlachetna dziewczyna spodziewać się mogła, bo gdy rzecz się rozniosła, poeta Claren piękne jej kosy natychmiast odkupił i wyrobione z nich pierścionki pamiątkowe, sprzedawane były na rzecz formującego się wojska w całych Niemczech, a ona malowana przez malarzy, opiewana przez poetów, otoczona została czcią, która świadczy — jak piszą „Westphälische Nachrichten“ zwracając się do Treskowa, że „i Niemcy wiedzą co jest w duszy ludzkiej pięknoscią moralną, którą godzi się szanować wszędzie, gdzie się na chwałę człowieczeństwa ukazuje.“

Historja szlachetnej dziewicy niemieckiej jest do końca historyją piękną duszy, historyją ofiarniczego poświęcenia. Po śmierci ojca, nastąpił w r. 1817, gdy inne dzieci rozeszły się po świecie, każde za celem swoim, a między niemi trzy córki poszły za mąż; ona nie chciała opuścić starej matki i zamknęła się z nią w ustroniu wiejskim, w małej posiadłości Bergel, niedaleko Olawy, danej jej na dożywocie przez rząd, i jak Antygona nie odstąpiła rodzicielki swojej do godziny ostatniej, która wybiła w r. 1851. A wtedy i ona już była kobietą starą, i w samotności cichej dożywała szlachetnego istnienia, aż znowu w r. 1863 świat usłyszał o niej. Przypadało w tym roku pięćdziesiąciolecie ustanowienia pruskiego Żelaznego Krzyża, zasługi, którego kawalerką uczyniono ją niegdyś, i król Wilhelm, cesarz dzisiejszy, wezwał ją przez wysłanego do niej feldmarszałka Wrangla, aby przybyła na dwór królewski, gdzie w czasie uroczystości dawano jej wybitnie zaszczytne miejsce. Długo na podziw młodo się trzymająca i zachowująca ślady dawnej urody, koniec życia miała jednak zatruty cierpieniem kilkoletniej ciężkiej choroby. Umarła w r. 1875.

— **Pięćsetletnia rocznica** bitwy pod Sempach, przypadająca 9 Czerwca roku bieżącego, ma być obchodzoną przez Szwajcaryą bardzo uroczyście

i ku czci Winkelryda mają ustanowić jego nazwisko noszącą pomoc emerytalną dla milicyi szwajcarskiej i rodzin jej.

— **W Sorbonie** ustanowiono nową katedrę i powierzono ją historykowi Aulard, który wykladać będzie dzieje pierwszej rewolucyi francuskiej.

— **Bilans Peszteńskiej wystawy** przyniósł dochodu 1,399,000 florenów, że przeciw kosztu wynosiły 1,866,000 flor.; zatem wykazał się deficyt 497,000 florenów.

— **Franciszek Sztójka**, uczony cygan węgierski i zarazem poeta, którego wiele pieśni, napisanych w dyalekcie cyganów węgierskich, krąży po kraju, podłożonych pod muzykę, skomponowaną przez cyganów, napisał słownik gwary cyganów węgierskich. Arcyksiążę Józef zajął się wydaniem tak słownika, jak i poezyi Sztójki.

— **Kossuth** mieszka wciąż w Turynie i wykończył pamiętniki swoje, które Węgry interesują się silnie. Otóż doszła w tych czasach do Pesztu wieść, że sędziwy bohater węgierski żyje w ubóstwie i tylko z grosza dawanego mu przez dzieci, które też nie są wcale zamożne. Chciano co prędzej pośpieszyć mu z pomocą, ale siostra Kossutha, Ilona Ruttkaj napisała list otwarty, że wieści te są nieprawdą, że bratu jej nie zbywa na niczem, a dzieci jego są dość dostatnio uposażone i dość przywiązane do ojca, aby miał zapewnione sobie wszystkie wygody. Mieszka sam, bo taka jest jego wola; żyje niezmiernie prosto i skromnie, ale też z chęcią własnej iz zasady, którą się całe życie kierował. Choć już ma lat 83 jest jeszcze stosunkowo bardzo silny i zupełnie zdrow, pracuje około ośm godzin dziennie i wykończył właśnie czwarty tom pamiętników. Nie jest bynajmniej zapomniany przez towarzystwo turyńskie, ale mało przyjmuje, tylko przed rodakami, zwłaszcza przybywającymi z kraju, nigdy drzwi nie zamyka i choć nie podziela dzisiejszej polityki swego narodu, nie odwraca się mimo-to od niego i nawet daje odwiedzającym go znakomitszym Węgrom pewne wskazówki postępowania, jest nawet w stosunkach z niemi.

— **Opera Wiedeńska** wystawi w Październiku bieżącego roku nowe dzieło znanego kompozytora „Królowej Saby” Karola Goldmarka, którego napisaniu poświęcił dziesięć lat pracy. Tytuł tej nieznaney dotąd nikomu opery jest „Merlin.” Nabytą ona została przez lipskiego nakładcę muzycznego za sumę 15,000 florenów.

— **Belgijski elektrotechnik**, von Ryselberghe zbudował telefon przez który można rozmawiać o 1,600 kilometrów (blisko 200 mil) odległości. Największa odległość, jaką dotychczas przebywał głos ludzki, była 500 kilom., mianowicie między Buenos Aires i Santa Fé w Rzeczypospolitej Argentynskiej. Obecnie przyrząd van Ryselberghe będzie działał między Nowym Yorkiem i Chicago. Roboty już rozpoczęte, postępują z amerykańską szybkością.

— **Latarnią morską elektryczną** stanowiący okręt, który o 16 kilometrów od wschodniego wybrzeża Anglii stoi już przez ośm miesięcy na kotwicy, jako próba oświetlenia brzegów morskich elektrycznością, jest połączony z lądem przez podmorski telegraf i telefon, tak, że mogą być regularnie dawane wieści z okrętu o stanie podnoszącego się morza i innych znakach, przepowiadających burzę, lub dawać znać o nadpływających okrętach, na których ratunek spieszyć trzeba. Telefony działają wśród najcięższej burzy i ryku bałwanów.

— **Wskróś najgrubszej koperty** można obecnie czytać najstaranniej zapieczętowany list, nic nie naruszając i nieuszkodzając pieczęci, a to za pomocą zwierciadła przeznaczonego do prze-

glądania, czy jaje nie jest zalęgniętem? Może to być dokonane przy podniesionej czułości oka na światło, przez pozostawienie od 10-ciu do 15-tu minut w miejscu zupełnie ciemnym, i gdy list jest podstawiony pod promień słoneczny, prostopadle padający. Choćby koperta była z ośm razy złożonego zwykłego papieru kancelaryjnego, list przeczytać można co do słowa, zwłaszcza jeżeli jest pisany po jednej tylko stronie papieru, co bardzo ułatwia czytanie, bo wtedy rysy liter nie płaczą się między sobą, a także atrament powinien nie być bladym. Kto życzy sobie, aby tajemnica jego listów nie mogła być przy nienaruszonej kopercie zbadaną, powinien założyć pismo kawałkiem czarnej tektury. Wiadomość o tak cudownym na pozór sposobie odczytywania zapieczętowanych listów, podaje professor W. Präyer w dziele: „Objaśnienie czytania w myślach ludzkich.” Dzieło to wyszło świeżo w Lipsku i odkrywa mnóstwo podobnych sztuk, jakoby jasnowidzenia.

— **Muzeum londyńskie** na South-Kensington posiada siedm oryginalnych kartonów Rafaela, służących za wzór do kobierców watykańskich. Brakowało jeszcze trzech: „Kamienowanie św. Stefana”, „Nawrócenie Szawła”, „Paweł i Silas uwolnieni z więzienia w Philippi, przez trzęsienie ziemi.” Otóż brak ten został obecnie uzupełniony przez kopię na płótnie, zdjętą z kobierców watykańskich przez angielskiego malarza W. Palin, według naturalnej wielkości wzorów. Z jedenastego kobierca „Koronacya Najświętszej Panny”, kopii zrobić nie dozwolono.

Rada miejska Paryża zawarła umowę z teatrem Odeonu, który zobowiązał się za cenę 15, franków wystawić w godzinach popołudniowych dziesięć oper dla uczni paryzkich szkółek ludowych. Na każdym przedstawieniu będzie się znajdowało 1,500 dzieci, repertoar powinien być dobrany starannie i tysko najlepsze dzieła muzyczne przedstawiać.

— **Cmentarz starożytny** znalezionym został w pobliżu francuskiego miasteczka Avencher, rzymskiego „Aventicum”. Już parę lat temu odkopano w okolicy grób z napisem na płycie kamiennej: „Vivas in Deo”. Otóż podobne napisy znajdują się w znacznej liczbie na grobowcach Katakumb Rzymskich, że przytem w pobliżu dworca kolei żelaznej w Avenches odkryto poprzednio całą ulicę grobowców pogańskich, można się było spodziewać, że gdzieś niedaleko kryje się w ziemi podobna ulica mogił chrześcijańskich. Odkopano najpierw dwa grobowce, znaleziono szczątki urn i kości ludzkich, dalej sześć grobów z dobrze zachowanymi napisami, aż obecnie wystąpiła cała ulica grobów, ale znów symbole na niej są pogańskie i tylko kilka z nich nosi charakter chrześcijański; ale trafiono na ślad jeszcze jednej ulicy, która niewątpliwie będzie już nie mieszaną, ale całkowicie chrześcijańską. Jakże ziemia jest stara i co szczątków ludzkich chowa w sobie!

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Pogawędka. — W księżycowe noce, poezya, przez Skabiozę. — Kwestyonaryusz rodzinny, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z Anglii, przez F. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a. — 37 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.